

Z RELACJI UCZESTNIKÓW POWSTANIA WARSZAWSKIEGO (ARCHIWUM WSK)

Ewakuacja ma odbyć się kanałami. Mają przechodzić wojsko, chodzący ranni i część personelu sanitarnego. Nasza decyzja jest trudna, dr Rakieta zginął tuż przed kapitulacją Starówki. Brak rozkazu. Decydujemy: z leżącymi rannymi zostaną te dziewczyny, które tutaj mieszkają, są w swojej dzielnicy. Część sanitariuszek, w tym Lilka i ja pójdziemy z chodzącymi rannymi. Na wejście do włazu czekamy na zbiegu Miodowej, Placu Krasińskich i Długiej. Najpierw wchodzi wojsko. Szpitale czekają. Jest noc rozświetlane ogniem płonących domów. Długi szereg czekających do włazu, to jakby jakiś przerażający „Dance macabre” – ustawieni parami: dziewczyna–chłopak, dziewczyna–chłopak. Moim podopiecznym jest por. „Błękitnej”, ranny w rękę i bark. Czekając, patrzymy na spadające z wieży kościoła garnizonowego, płonące głównie.

Wchodzimy do kanału. Jest ciemno. Na przodzie migoce nikła latarka. Wody, a właściwie czarnej, gęstej mazi przybywa. Dlaczego? Czy zalewają kanały? Nie, to dlatego, że jest nas coraz więcej. Niemcy mogą zalać kanał wodą, mogą wpuścić gazy, mogą wrzucić granaty. Czy dojdziemy? Jedziemy około 4 godziny. Długi wąż ludzi trzymający się przynajmniej jedną ręką jeden drugiego – nie wolno przerwać ciągłości. Nie wolno nic mówić. Pod nogami chlupocze woda maź. Ciemno. Tylko czasem gdzieś daleko, w przodzie, mignie nikłe światełko latarki trzymanej przez łączniczkę. Najtrudniejsze są przejścia tam, gdzie kanały krzyżują się – w poprzek drogi staje gruba, ogromna rura, jakaś „gruba berta” przez którą trzeba się przeczołgać, żeby móc iść dalej. „Błękitne” słabnie. Podtrzymuję go fizycznie i staram się podtrzymać na duchu jakimiś mocnymi słowami. Wreszcie daleko przed nami, potem coraz bliżej sinieje jakieś światło. To wylot naszego kanału. Świta. Wychodzimy z włazu przy rogu Nowego Świata i Wareckiej. Wyciągają się po nas pomocne ręce.

Nazajutrz nasza grupa z Miodowej 24 zgłasza się do punktu rozdzielczego. Dostajemy przydział: kwatera mieszkalna przy ul. Wilczej 8, skierowanie do służby sanitarnej: szpital Powstańczy Mokotowska 55.

Dostajemy swój przydział: praca, służba, dyżury. Także nocne. My to znaczy: Lilka, ja i pielęgniarka Ala. Rannych jest dużo. Leżą w piwnicach, niektórzy w okolicznych mieszkaniach. Biegamy tu i tam. Oprócz opieki na „salach” szpitalnych, nad rannymi – wyprawy po wodę, po leki. Do odległych miejsc przechodzi się piwnicami, podwórkami, przez dziury wybite w ścianach, w murach, w płotach. W poprzek ulic prze-

chodzi się podkopami przekraczając grube rury kanalizacyjne (np. koło Pięknej) albo przebiega się pochyłając, tunelem z worków z piaskiem – jak w wypadku Alei Jerozolimskich, na drugą stronę Alei, do północnej części miasta. Krąży wierszyk „Raz na lewo, raz na prawo, tak dziś chodzi się Warszawą”. Na obrzeżach Śródmieścia barykady. I tam walki.

*Joanna Chyła z d. Pyziak ps. Pyzia,
14. Warszawska Żeńska Drużyna Harcerska „Biała”,
SZSZ Powstanie Warszawskie, Toruń 1995*

Od wczesnych godzin porannych czuło się, że coś się wydarzy. I rzeczywiście około godziny 16 po południu był odgłos pojedynczych wystrzałów. O godzinie 17 wręcz kanonada, ryk syren. Byłam w tym czasie z matką i siostrą Urszulką w naszym mieszkaniu na Lesznie. A więc zaczęło się...

Po uzyskaniu błogosławieństwa naszej matki, nałożyłyśmy wygodne buty, wzięłyśmy białe fartuchy mojego ojca, środki opatrunkowe znajdujące się w domu i udałyśmy do gmachu sądów znajdujących się niedaleko naszego mieszkania na Lesznie. W budynku sądów zlokalizowanych pomiędzy ulicą Ogrodową a ulicą Leszno znajdował się bowiem szpital polowy. Pamiętam doskonale pierwsze wrażenie. Olbrzymia sala na parterze oraz kilka mniejszych, gdzie ustawione były łóżka i materace. Zgłosiłyśmy się do dowódcy. Nie znałyśmy go. Wyraziłyśmy chęć pomocy. Powiadomiłyśmy go o tym, że przeszłyśmy kurs sanitariuszek. Zgodził się bez wahania.

Praca była bardzo ciężka i niebezpieczna. Polegała ona nie tylko na karmieniu chorych. Często szczególnie po nalotach i intensywnej strzelaninie wychodziłyśmy na zewnątrz z noszami i przynosiłyśmy chorych do szpitala. Robiłyśmy również opatrunki i tamowałyśmy krwawienie na miejscu zdarzeń, tj. na zewnątrz szpitala. Często więc byłyśmy bezpośrednio pod ostrzałem wroga na pierwszej linii ognia.

Pamiętam, że raz w związku z tym, że nie było karetki, trzeba było przenieść chorego na noszach. Chorego z urazem brzucha przeniosłyśmy z naszego szpitala do Szpitala Maltańskiego. Szłyśmy z ulicy Ogrodowej przez ul. Chłodną koło Hali Mirowskiej i Elektorálną do Szpitala Maltańskiego. Znajdującego się w pałacyku Mniszchów przy ul. Senatorskiej. Zajęło to nam ponad godzinę. Na szczęście chory nie zmarł po drodze i doniosłyśmy go żywego.

W dniu 5 sierpnia w sobotę nasiliły się naloty samolotów oraz ostrzeliwanie artyleryjskie. Dochodziły niesprawdzone wiadomości o licznych

mordach na ludności cywilnej. W dniu tym było dużo rannych zarówno wśród powstańców, jak i osób cywilnych.

W niedzielę w dniu 6 sierpnia dowiedziałyśmy się, że nadszedł rozkaz ewakuacji rannych do Szpitala Maltańskiego. Nie zapomnę chorych, którzy przy naszej pomocy o kulach, szli ulicą Elektoralną, chowając się po bramach po każdym wybuchu i serii wystrzałów.

Pamiętam również młodą kobietę w ciąży, którą wyciągnięto spod gruzów i którą przeniosłyśmy do szpitala. Miała ona zmiażdżone nogi oraz doznała urazu klatki piersiowej i brzucha. Pomimo szybkiego transportowania do szpitala, wkrótce zmarła.

7 sierpnia w godzinach przedpołudniowych szpital został opanowany przez wojsko niemieckie. Do szpitala wtargnęli żołnierze ukraińscy w mundurach niemieckich, zabijając większość ciężko rannych, których nie zdążono ewakuować na Stare Miasto. O ile pamiętam zamordowano jedną starszą pielęgniarkę. Do dzisiaj zastanawiam się, dlaczego darowano mnie i mojej siostrze życie. Może z tego powodu, że byłyśmy młodymi, w miarę ładnymi dziewczynami i oszczędzono nas, ażeby się następnie z nami „zabawić”. Ostatecznie mnie i mojej siostrze udało się uciec przez kuchnię szpitalną i powrócić do naszego mieszkania na Lesznie, gdzie spotkałyśmy się z naszą matką.

Po kapitulacji Woli byłam transportowana do Pruszkowa. Moim zadaniem można to nazwać marszem śmierci. Widziałam jak wielu mężczyzn było wyciąganych z kolumn i na moich oczach ich rozstrzelano. W pewnym momencie potknęłam się i upadłam na tłące się szczątki ludzkie. Podczas dochodzenia do obozu w Pruszkowie nagle zamieszanie. Moja siostra Urszula powiedziała „Ja już wolę zginąć, niż ponownie trafić do obozu”. Pamiętała ona bowiem doskonale swój pobyt w obozie na Majdanku. W pewnym momencie krzyknęła „uciekamy”. Uciekłyśmy po torach pomiędzy wagonami. Rozległy się strzały. Nie wiem, czy strzelano do nas czy do innych. Stwierdziłyśmy, że nikt za nami nie biegnie. Byłyśmy wolne.

*Maria Kowalewska z d. Biedermann ps. Myszka,
mjr NSZ, Powstanie Warszawskie, Toruń 2017*

Ulica Sienna 19 – punkt naszej koncentracji, pakujemy torby sanitarne... Co było wspaniałe w owe pierwsze dni? Jeśli ludzie widzieli, że jest punkt zbiórki powstańczej – od razu cała kamienica stawiała się twierdzą. Organizowano przede wszystkim stołówki dla przychodzących powstańców czy ludzi, którzy nie dotarli do swoich domów. Wszystko było bardzo biednie i ubogo. Na co dzień mieliśmy niemieckie kartki,

maleńkie przydziały tłuszczu, marmolady, udawanej herbaty ziołowej. A ludzie przynosili wszystko, co kto miał, choćby bochenek chleba. Był też punkt zbiorów odzieży. Tak kamienica od razu zaczęła żyć wspaniałym zbiorowym życiem, a myśmy byli dumnym centrum tego życia!

Czułyśmy się ważne. Potrzebne. Co należało do naszych zadań? Służba wartownicza, przenoszenie meldunków i poczty, taszczenie żywności (nieraz worków trzydziestokilogramowych), gaszenie pożarów, wydobywanie zasypanych...

Z moich obowiązków najbardziej lubiłam być łączniczką. Wydawało mi się, że się sprawdzałam w moich samotnych wędrówkach na drugą stronę Alei Jerozolimskich. W tych wyprawach radowała mnie szybkość przemierzania tej niełatwej przecież trasy: w góry, w dół, piwnicą, podwórkiem, wykopem, w poprzek ulicy, często rurami podkanalizacyjnymi.

Dzięki naszej najdroższej ludności Warszawy, większość tras była znakomicie zorganizowana, cały czas byłam prowadzona to strzałką na murze, to sygnałem starszego pana lub pani siedzących z książkami w ręku u wylotu piwnicy lub w jej rozwidleniu z okrzykiem „– Moje dziecko! Tędy idź!”

Jak się później okazało, przy ul. Wilczej siadywała tuż na takim dyżurnym krzeselku moja mama Zofia.

To było 18 sierpnia. Jeszcze w Adrii stał ołtarzyk, który przygotowałyśmy na 15 sierpnia. Jakaś pani przyniosła nam obraz Matki Boskiej, wołając, że jest w jej rodzinie od stu lat i błogosławi już styczniowych powstańców... Ustawiliśmy obraz, nawet zdobyłyśmy jakieś kwiatki...

Jest popołudnie. Stoję przy wejściu do Adrii. Nagle potworny huk. Cały gmach się zakolał, sypią się szyby. Krzycze: „– Boże, tam są nasze dziewczyny!” Wpadam do wnętrza, ciemność, światło zgasło (jeszcze działała elektrownia), lecę do łoży, gdzie sypiałyśmy na aksamitnych fotelach. Wszystkie dziewczęta żywe! A pocisk z działa kolejowego nabyty trotylem rozpruł „Adrię”, przeciął ją na ukos i zarył się na parkiecie, gdzie przed wojną beztrząsoko płasali warszawiacy z generałem Wieniawą na czele... Pocisk nie wybuchł! Może naprawdę uratowała nas Matka Boska z tamtego Powstania... Obraz był nietknięty, nawet kwiaty pod nim ocalały.

Nazwaliśmy niewypał czule „cielaczkiem”. Cały akt zdemontowania nie odbył się też bez sensacji po odkręceniu zaworu (przez minerów, saperów), gdy rozległo się syczenie, wszyscy popędzili w dół uliczki w stronę placu Napoleona.

Śródmieście miało obraz wyspy. Wyspy, która otoczona ogniem, otoczona kordonem walczącym, była tym właśnie przez tyle lat oczeki-

wanym miejscem wolności. Drogo za nią płacono, niemniej oddychano w tych dniach naprawdę pełną pierśią. Tak właśnie oddychaliśmy...

*Prof. dr hab. Barbara Otwinowska ps. Witek Błękitny, Baśka,
AK Warszawa, 100. Kompania Sztabowa Obw. AK Śródmieście,
relacja niedatowana*

Wybuch Powstania Warszawskiego zastał mnie na Żoliborzu, w domu przy ul. Słowackiego 25, w którym mieszkałam i byłam zameldowana pod nazwiskiem i imieniem Sławomira Mędrzycka [...]. Miałam swój przydział do baonu St. Czarnieckiego, do służby przy kpt. Zdzisławie Żukowskim („Dąbrowa”) – całą prawie formację tworzyli dawni członkowie M[iecza i] P[ługa]. Już jednak nie mogłam wrócić do Śródmieścia, ponieważ Powstanie wybuchło na Żoliborzu wcześniej.

Postanowiłam wraz z p. „Lubicz” (ze Z[wiązku] K[obiet] C[zynu]) zgłosić się do pracy i oddziału AK – na Żoliborzu. Po sporadycznych akcjach rozdzielania żywności, bielizny, odzieży, które organizował ks. kap. Zygmunt Trószczyński, zgłosiłyśmy się do W[ojskowej] S[łużby] K[obiet] AK z prośbą o przydział do konkretnej pracy, do p. Zofii Czerskiej („Sawa”), która zatrzymała nas w Komendzie Placu, w kompanii sztabowej, przy ul. Krasińskiego. Zostałam wpisana do kartoteki jako Sławomira Mędrzycka, ps. Skiba, także używałam ps. Danuta, Skiba. Otrzymałyśmy przydział do grupy łączniczek, ale byłyśmy przydatne do różnorakich prac. Wreszcie były okazje do słuchania i wykonywania poleceń przełożonych.

Na prośbę „Sawy” przyniosłam do Komendy Placu moją własną maszynę do pisania „Ericę”. Początkowo wszyscy cieszyli się, że jest maszyna, że będą mogli pisać raporty z prowadzonych walk, a także wspomnienia z wojny i lat dotyczących okupacji. Niestety, życie codzienne toczyło się szybko, za szybko wśród ciągłych grozy, niedostatku, załamań i właściwie żaden z tych ludzi – małych dowodów – nie miał czasu ani możliwości, by wykorzystać moją maszynę, z wyjątkiem napisania kilka rozkazów.

Na tej maszynie do pisania sporządziłam też spis broni i amunicji przekazania patrolom przybyłym kanałami ze Starówki pod dowództwem por. „Pluta” (Stanisław Wieczorek, działał w szeregach MP). To właściwie my łączniczki przynosiłyśmy tej broń i amunicję z jednego domu przy ul. Suzina do punktu przy pl. Wilsona (przy ul. Słowackiego). Zakres moich prac narzucała konkretna sytuacja. Na przykład, gdy można już było się dostać do Olejarni na Marymoncie, posłano łączniczki m.in. po olej z dużymi wiadrami.

Posyłano nas także do szpitali, do pomocy przy ewakuacji chorych i rannych.

Moje zadania prawdziwej łączniczki miały miejsce 2–3 razy z meldunkiem do dowódcy stacjonującego w fortach w okolicy ul. Krajewskiego, skąd wracając, spotkały mnie jedne z pierwszych „szuf” w parku Żeromskiego. Po raz trzeci chodziłam z poleceniem dla por. „Kwarcianego” stacjonującego przy ul. Krachowieckiej (też z MP, por. Jerzy Zdrowski).

Gdy dano mi do wyboru, czy wyjść z oddziałami wojskowymi czy z ludnością cywilną, wybrałam to drugie rozwiązanie i z transportu do Pruszkowa uciekłam wraz przyjaciółką Janeczką „Lubicz” 2 października w Gołąbkach koło Warszawy.

*Danuta Przystasz ps. Skiba,
ZWZ Santok, ZKC Ruchu „Miecz i Pług” Warszawa,
relacja niedatowana*